

MARGINESY

Gwiazdka

Joanna przerzuciła sukienki w swojej wielkiej garderobie. Choć większości z nich jeszcze ani razu nie miała na sobie i wciąż widniały na nich metki najdroższych butików, znów nie udało jej się znaleźć na wieczór niczego odpowiedniego. A miał to być przecież wieczór wyjątkowy. Joannę zaproszono na otwarcie drogiej restauracji połączone z pokazem mody topowego polskiego projektanta. Na kolacji miały się pojawić gwiazdy polskiego kina, mody i telewizji, była to więc kolejna okazja, by pokazać się w znanych kręgach. Bo choć od jakiegoś czasu Joannie systematycznie udawało się zdobywać zaproszenia na modne imprezy, to sama nie należała do żadnego znanego towarzystwa. Tak właściwie nie należała do żadnego towarzystwa. Ale żeby to zrozumieć, trzeba się cofnąć o kilka, a nawet kilkanaście lat.

Joanna, a właściwie po prostu Aśka, pochodziła z niewielkiej miejscowości pod Łodzią. Wychowywana przez ciężko pracującą, samotną matkę, od zawsze marzyła o wielkiej karierze, błysku fleszy, brylantach, kwiatach i uwielbieniu mężczyzn. Niestety, dziewczyna z drobną nadwagą, w niemodnych, za dużych ubraniach nie mogła liczyć na jakiegokolwiek przychylnie traktowanie ze strony swoich rówieśników. Na dodatek tuż przed osiemnastymi urodzinami, gdy oczyma wyobraźni krążyła już po wymarzonej stolicy, zaszła w ciążę. Wszystkie pomysły i marzenia pozostały na lata zamknięte w szafie, a Aśka wyładowała za kasą w okolicznym sklepiu. Gdy odchowała synka, postanowiła na kilka miesięcy wyjechać i zacząć realizować odkurzone marzenia. Szybko znalazła pracę, jednak liche kwalifikacje i brak doświadczenia zweryfikowały jej wizję, dlatego Aśka znów zajęła miejsce za kasą. Była to już jednak kasa w sklepie zachodniej marki w wielkim stołecznym hipermarkecie. Z początku pensja z trudem wystarczała jej na skromne życie w wynajętym pokoju. Jednak życie, jakie Aśka obserwowała zza sklepowej lady, z każdym dniem coraz bardziej stawało się jej udziałem.

Zaczęło się od tego, że jedna z klientek z wyższych sfer zareklamowała torebkę. Istotnie, torebka, która w sklepie kosztowała kilka tysięcy, była wykonana przez producenta bez jakiegokolwiek dbałości o szczegóły. Aśkę jednak zachwyciła nonszalancja i elegancja klientki, więc wdała się z nią w dłuższą dyskusję. Tego dnia, po zamknięciu sklepu, po raz pierwszy z ochotą została po godzinach. Postanowiła sama przymierzyć rzeczy, na które nie było jej nigdy stać, a które właśnie pojawiły się w sklepie jako zwiazstun jesiennej kolekcji.

I tak Aśka, bardziej w wyobraźni niż rzeczywistości, stawała się Joanną z wyższych sfer. By nie wzbudzać podejrzeń w sklepie, w którym pracowała, w trakcie przerw buszowała po innych butikach, „kupując” luksusowe rzeczy, na które wydawała prawie całą pensję. Nie martwiło jej to jednak, bo te same rzeczy zamierzała niebawem oddać w nienaruszonym stanie.

Tak ubrana i bardziej pewna siebie Joanna wyruszała wieczorami na podbój stolicy. Zaczęła nieśmiało – od popularnej kawiarni. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że nieznana, samotna, dobrze ubrana i szczupła dziewczyna może zrobić prawdziwą furorę. Jedna rozmowa przy barze z uroczym blondynem zakończyła się zaproszeniem na modną imprezę kolejnego dnia. Dalej poszło już łatwo – Joanna niewiele się odzywała, starannie dobierała „wypożyczone” ze sklepów stroje, uroczym się uśmiechała i przytakiwała w towarzyskich rozmowach. Po kilkunastu takich imprezach stała się rozpoznawalna w towarzyskim światku. Nikt nie pytał o jej prawdziwe nazwisko i pochodzenie, a że pojawiała się wśród osób związanych z telewizją i modą, nikt nie dopytywał też o jej pracę. Joanna zaczęła wzbudzać zainteresowanie mężczyzn i cicho liczyła, że w tym nowym dla niej świecie znajdzie także swojego księcia. Ku jej rozczarowaniu czar poznanych wieczorem po kilku drinkach facetów pryskał nad ranem, gdy budziła się przed świtem i spieszyła na najwcześniejszy autobus, by dostać się do swojego pokoiku i wdziać naprędce kostium kasjerki.

Pewnej nocy wszystko miało się jednak odmienić. Jeden z „dobrych znajomych”, z którym przez kilka tygodni znajomości zdążyła wypić tuziny kolorowych drinków, przedstawił ją świetnie zapowiadającemu się scenarzyście filmowemu. Maciej nie tylko był nachalny i pijany, nie dobierał się także do niej, za to zasypał ją masą dyskretnych komplementów. Był to pierwszy raz, kiedy Joanna zdecydowała się podać świeżo poznanemu mężczyźnie swój numer telefonu. Znajomość zaczęła nabierać tempa – nie licząc nocnych imprez, Joanna była zabierana na kolacje do modnych restauracji, dostawała kwiaty, bieliznę i biżuterię, słowem – wszystko to, czym nigdy dotychczas nie była obdarowywana. Maciej, choć dopiero zaczynał karierę w telewizyjnym biznesie, wiódł bardzo bogate życie – mieszkał w kultowej dzielnicy w wielkim, gustownie urządzonej apartamencie. On opowiadał jej o kulisach filmowego życia, Joanna chcąc za nim nadążyć i nie czuć się przy tym Kopciuszkiem, wykreowała się na zarabiającą krocie stylistkę gwiazd. Wciąż jednak unikała podawania zbyt wielu informacji na swój temat.

Bieg całej historii zmienił się jednak, gdy Joanna miała wyjechać z Maciejem w góry. Kiedy już pakowała walizkę, zadzwoniła jej matka, mówiąc jej, że musi natychmiast wracać do domu, bo jej synek ma ciężką ospę. Joanna wykreśliła się Maciejowi, który już jakiś czas temu zauważył dziwne zachowanie kochanki.

Gdy Joanna jechała PKS-em do swej małej miejscowości, Maciej pojechał za nią. Za chwilę miał zobaczyć biedny, rozpadający się domek, zaniedbane obejście i wyniszczoną, ubogą matkę Joanny. Ten widok wystarczył mu, by całkowicie zakończyć znajomość.

Po dwóch tygodniach synek Joanny wyzdrowiał, a ona sama przestała rozpaczać po utracionym kochanku. Spakowała rzeczy syna i wróciła do stolicy, gdzie dzięki nowym kontaktom i własnemu uporowi powolutku pięła się po szczeblach kariery. Po kilku latach spotkała także Macieja i przypomniał się jej finał ich romansu. Jak się okazało, dawny kochanek nie był ani zamożny, ani nawet nie był scenarzystą, za to dobrze umiał udawać, wabiąc tym bogate sponsorki...

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Smutne, ale prawdziwe

W ciągu ostatnich kilkunastu dni byliśmy świadkami wielu ciekawych wydarzeń, w których uczestniczyli polscy sportowcy. Były to, jak powiedziałem, wydarzenia ciekawe, ale, niestety, nie zawsze radosne dla polskiego kibica. Bo trudno być usatysfakcjonowanym z występu naszych lekkoatletów na mistrzostwach świata w dalekiej Korei Południowej. Spece od tej dyscypliny mówili, że nasi reprezentanci zdobędą siedem, osiem medali, w tym nawet cztery złote – skończyło się tylko na jednym. Na szczęście było to złoto wywalczone przez naszego tyczkarza. Trudno powiedzieć, dlaczego nasi reprezentanci wypadli tak błado. Niektórzy twierdzą, że coś nie tak było z aklimatyzacją. Niewykluczone, ale na aklimatyzację nie można zwać całej winy. W końcu było wiadomo, w jakiej strefie geograficzno-klimatycznej odbędą się mistrzostwa.

Moim zdaniem coś nie tak było z przygotowaniem do tej ważnej imprezy. Nasi reprezentanci osiągnęli wyniki gorsze niż kilka tygodni wcześniej. Występ w tegorocznych mistrzostwach świata należy potraktować jako przykrą wpadkę i wyciągnąć z niej odpowiednie wnioski szkoleniowe. Uważam bowiem, że naszych czołowych lekkoatletów stać na rywalizację o podium i medale – mam oczywiście na myśli igrzyska olimpijskie, które odbędą się za rok w Londynie. I wierzę, że wtedy nasi lekkoatleci zaprezentują się zdecydowanie korzystniej.

Drugą imprezą, na której polscy sportowcy się nie popisali, były koszykarskie mistrzostwa Europy. Po raz kolejny przekonaliśmy się, że w tej dyscyplinie nie mamy właściwie nic do powiedzenia w europejskiej rywalizacji. Jest to smutne stwierdzenie, ale prawdziwe. A przecież w męską koszykówkę inwestuje się niemałe pieniądze – mam na myśli sponsorów poszczególnych klubów. Są pieniądze, ale nie ma żadnych pozytywnych efektów. Także Polski Związek Koszykówki robi niewiele, by poprawić tę sytuację. Kilka tygodni temu w mistrzostwach Europy, które odbywały się w Polsce, skompromitowały się koszykarki, teraz czas przyszedł na panów.

Kluby swoje, związek swoje – tak można określić działania w naszym koszykarskim światku. Wielu sponsorów klubowych ma powody do zadowolenia, bo w rozgrywkach krajowych ich drużyny odnoszą sukcesy, nie dociera do nich jednak, że nic nie znaczą na europejskich parkietach. Poziom gry mieli podnieść zawodnicy z zagranicznego zaciągu. Czy tak się rzeczywiście stało? Śmiem wątpić. Po prostu – są to zawodnicy o przeciętnych umiejętnościach. Do przyjazdu do polskich klubów skłoniły ich wyższe niż w ich krajach zarobki. I grają tak, by nie stracić ani grosza z kontraktu. Takie działania nie mogą przynieść pozytywnych efektów – to jest po prostu marnotrawstwo środków.

Polski Związek Koszykówki powinien podjąć radykalne działania – na przykład ograniczyć liczbę zagranicznych zawodników w poszczególnych klubach. Równocześnie jednak winien zintensyfikować szkolenie młodzieży. Wiadomo, że w ciągu jednego roku czy dwóch lat nie wychowa się dobrych koszykarzy – na to potrzeba więcej czasu. Lepsze przygotowanie i większe środki przeznaczone na szkolenie przyniosłyby z pewnością pozytywne rezultaty. Chcąc się czegoś dorobić, należy przecież rozsądnie inwestować.

Trochę radości kibicom sprawiła na pewno Majka Włoszczowska, która swoją kolekcję wzbogaciła o kolejny medal,

zostając wicemistrzynią Europy w kolarstwie górskim. W tym miejscu na usta cisnie się jedno stwierdzenie – lepiej pomagać i inwestować w trzy, cztery takie Maje, niż finansować koszykarskich nieudaczników.

Wszystkie te wydarzenia błędną jednak wobec futbolu. Kiedy piszę te słowa, do EURO 2012 pozostało bodaj 270 dni. To dużo i mało zarazem. Mamy już gotowe stadiony, na których odbyły się pierwsze spotkania – w Poznaniu już dużo wcześniej, a przed kilkoma dniami w Gdańsku i Wrocławiu. W Warszawie natomiast coś idzie nie tak. Wiadomo, że rosną koszty budowy i będzie to najdroższy stadion na świecie. Moim zdaniem dodatkowymi kosztami budowy tego stadionu powinni zostać obciążeni mieszkańcy naszej stolicy, a nie Skarb Państwa, czyli my wszyscy.

Otwarcia stadionu w stolicy Dolnego Śląska dokonali nie futboliści, a bokserzy. Wielka gala boksu wzbudziła olbrzymie zainteresowanie w całym kraju, takiej imprezy nie mieliśmy jeszcze nad Wisłą i Odrą, a w dodatku miał na niej wystąpić idol wielu młodych Polaków. Pojedynek Tomasza Adamka i Witalija Kliczki nazwano nawet walką stulecia, która miała wynieść Adamka na bokserki szczyt. Tak się jednak nie stało. Witalij Kliczko (jako ciekawostkę warto powiedzieć, że zrobił doktorat z filozofii na Uniwersytecie w Kijowie) pewnie obronił tytuł mistrza świata. Sędzia przerwał walkę w 10 rundzie, bo nasz bokser już „pływał”, jak mówią w bokserkim żargonie. Nie da się ukryć, że ukraiński bokser jest na dzień dzisiejszy zdecydowanie lepszy. Na pocieszenie Tomaszowi Adamkowi pozostało parę milionów dolarów, które zarobił na tej walce.

Wróćmy do gdańskiego stadionu. Jest ładny, a przede wszystkim funkcjonalny. Jego otwarcie miał uświetnić mecz z reprezentacją Niemiec. Spotkanie wzbudziło olbrzymie zainteresowanie, a dziennikarze dolewali oliwy do ognia. Wszyscy jednogłośnie domagali się zwycięstwa naszej drużyny, bo jak dotąd w piłkę nożną Niemcy nigdy nie udało nam się wygrać z Niemcami (bilans to 16 porażek i 4 remisy). Niewiele brakowało, by spełniły się te marzenia. Mecz zakończył się jednak remisem 2:2, a wyrównującego gola Niemcy zdobyli w doliczonym czasie gry tuż przed końcowym gwizdkiem. Wielu kibiców uważa, że był to bardzo dobry występ polskiej reprezentacji, że mamy wreszcie drużynę, która może rywalizować z najlepszymi.

Prawdopodobnie narażę się tym kibicom, ale mam odmienne zdanie na temat tego spotkania. Faktycznie – nasi zawodnicy grali ambitnie, chcieli koniecznie pokonać przeciwnika. W ich poczynaniach za dużo było jednak chaosu i mało przemyślanych poczynań. Gdyby nie Szczęsny, to Niemcy po pierwszych 30 minutach gry mogliby prowadzić nawet 3:0. Dodajmy też od razu, że drużyna niemiecka nie wystąpiła w najsilniejszym składzie. Nie będę oceniał poszczególnych zawodników, powiem prosto – nie mamy jeszcze drużyny, która może podjąć w miarę wyrównaną walkę z czołowymi zespołami świata. Trener Franciszek Smuda próbuje z mozołem budować zespół, ale jak dotąd niewiele z tego wychodzi. Nadal nie mamy napastnika, który potrafi zdobywać bramki. O obrońcach nie wspomnę, a wystawianie Głowackiego jest bezsensowne.

Nie należy po tym meczu wpadać w euforię. Prócz ambicji nasi reprezentanci niczym specjalnym się nie wyróżnili. To smutne, ale prawdziwe.

HENRYK MARZEC